



STOLICA

WARSZAWSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

ROK IX

NR 42 (356)



W A R S Z A W A
17 PAŹDZIERNIKA 1954 R.
CENA 1 ZŁOTY 10 GR

Mieszkańcy najmniejszego osiedla warszawskiego — Rakowca — są bardzo przywiązani do swej „rzeczypospolitej rakowieckiej” i doskonale się w niej rządzą, jak świadczy reportaż na stronach 8 i 9 tego numeru „Stolicy”. Wiele troski poświęcają swym młodym współobywatelom, stwarzając im odpowiednie warunki dla zbiorowych zabaw, jak widzimy na zdjęciu
Zdjęcia: Zbyszko Siemazko

NOWY DOM AKADEMICKI, TO DOBRZE, ALE...



Taką „obszerną” świetlicę przewidział projektant dla... 1000 osób!

Nowy dom akademicki. W tym roku oddany do użytku. Na pewno każdy ze studentów chciałby być mieszkańcem takiego własnego domu. Nic dziwnego. W nowym domu powinno się przecież mieszkać lepiej, wygodniej. Każdy ma prawo tak sądzić, bo przecież z pojęciem „nowy” kojarzy się zawsze określenie „lepiej zaprojektowany”, „lepiej wykończony” i wiele, wiele innych „lepiej”. Dlatego też z radością szłam do nowego domu studenckiego przy ulicy Kickiego na Grochowie. Cieszyło mnie wszystko, co zobaczyłam, bo — to przecież NOWY DOM!

Już sam fakt zbudowania nowego domu akademickiego niewątpliwie raduje, jako dowód troski o dalsze polepszenie warunków studiującej młodzieży. Jednak radość tę przesłaniają cienie. Sam fakt zbudowania domu jeszcze nie wystarcza: chodzi o to, jakie w nim stworzono warunki. Dom na zewnątrz przedstawia się okazale. Wielki czteropiętrowy budynek położony jest w zacisznej okolicy, odległej od gwaru przelotowej arterii.

Ale już samo dojście do niego nie jest zbyt zachęcające, szczególnie wieczorem. Ciemno, że oko wykol, pełno gruzu, jakiegoś żelastwa,

połamanych desek, które, jak ktoś z poczuciem humoru zauważył, służą jako prowizoryczne chodniki, pełno niepotrzebnego piachu. No i w ogóle „artystyczny” bałagan budowlany. A przecież wszystkim zainteresowanym, a więc i przedsiębiorstwu budowlanemu, które budowało ten dom, wiadomo chyba, że studenci pierwszych lat rozpoczynają naukę w pierwszych dniach września.

Wchodzimy do wewnątrz. Oględziny nasuwają niewesołe refleksje... Bo przecież należy przypuszczać, że dom akademicki był projektowany przez architekta. Prawdopodobnie architekt ten był też kiedyś studentem i może mieszkał w domu akademickim. A jeśli nie mieszkał, co jest całkiem możliwe, to na pewno, nim zabrał się do projektowania tego właśnie domu, przeczytał jakąś literaturę traktującą o budowach gmachów tego typu. No i chyba... obejrzał sobie chociażby kilka domów studenckich w Warszawie? Jeśli tego nie zrobił, to sprawa jest zrozumiała. Bo skądże wobec tego miał wiedzieć, że w każdym domu akademickim powinna być świetlica, ale nie na 150 osób, jeśli korzystać ma z niej prawie 1000 studentów, lecz o wiele, wiele większa. Skądże miał wiedzieć, że jeśli projektuje się zbiorową

umywalnię, to powinny być w posadzce jakieś ścieki do odprowadzania rozlanej wody.

Nie wiedział poza tym o jeszcze wielu innych rzeczach. Np. szafy do garderoby. Zaprojektował na nie tak małe wnęki, jakby w pokoju miało mieszkać nie sześciu dorosłych ludzi, a sześć krasnoludków z bajki o sierotce Marysi. Również beztropko zapomniał o kuchni i, co za tym idzie, o stołówce. Może sądził, że studenci żyją tylko strawą ducha, a więc jedzenie jest im niepotrzebne?

Nie, panie inżynierze! Studenci nie żyją w obłokach, chodzą twardo po ziemi. Ale w końcu ktoś mądry to odkrył, albowiem teraz, to znaczy kiedy dom już stoi, zaczęto przerebić jakieś pomieszczenia piwniczne na stołówkę. W tym roku chyba nie będzie ona gotowa. No, ale lepiej później, niż wcale.

W domu, w którym zamieszka około 1000 studentów, nie ma żadnego pomieszczenia na izolatkę dla chorych. Pokoje są skrupulatnie wykorzystane do celów mieszkalnych. No, ale to właściwie nie jest już wina projektanta. Ale czy nie dałoby się z otwartych hallów, które wychodzą z korytarza, urządzić takich właśnie izolatek lub pokoiów do nauki, których jest bezwzględnie za mało? Prawdopodobnie byłoby to możliwe. Tylko czy projektant zgodzi się na wbudowanie do tych hallów oszkłonych drzwi, które odizolują przebywających tam od hałasu z korytarza, a jednocześnie będą przepuszczały światło?

Tak się złożyło, że w pierwszym pokoju, który odwiedziłam, mieszkała starszy student (nie wiekami, ale ci, którzy mieszkali już w niejednym domu akademickim). Zastałam całą szóstkę. Od razu „zastrzelili” mnie radosnym oświadczeniem: „Wywalczyliśmy trzy półki na książki”. Oni mówili „półki na książki”, a ja słyszałam tylko słowo „wywalczyliśmy”. Jasną jest przecież rzeczą, że student musi mieć półkę na książki. Ale żeby trzeba było o nią aż walczyć? A jednak tak jest. Okazuje się, że każdy pokój, nawet 6-osobowy, otrzymuje jedną skromną półeczkę. I wszystko jedno czy jest to pokój matematyków, którzy potrzebują nieco mniej książek do pracy, czy też pokój studentów z 5 roku wydziału historycznego, którzy w sumie mają przeszło 1300 książek — wszyscy dostają słownie: jedną półeczkę. Kto tu winien? Administrator? Nie. Kierownik administracyjny Wacław Brzeski naprawdę się dwoi i troi, ale przecież półek sam nie zrobił. A więc Zarząd Ośrodków Akademickich? Ten twierdzi, że też nie, bo nie ma więcej pieniędzy na półki dla studentów. A jednak tak bardzo chciałoby się zapytać właśnie ZOA — kto winien? A może studenci, bo po prostu mają za dużo książek? Prawda — proszę ZOA?

Bardzo dobrze, że do domu akademickiego przy Kickiego nie przy-



A taką znów szafę na.. 6 osób.

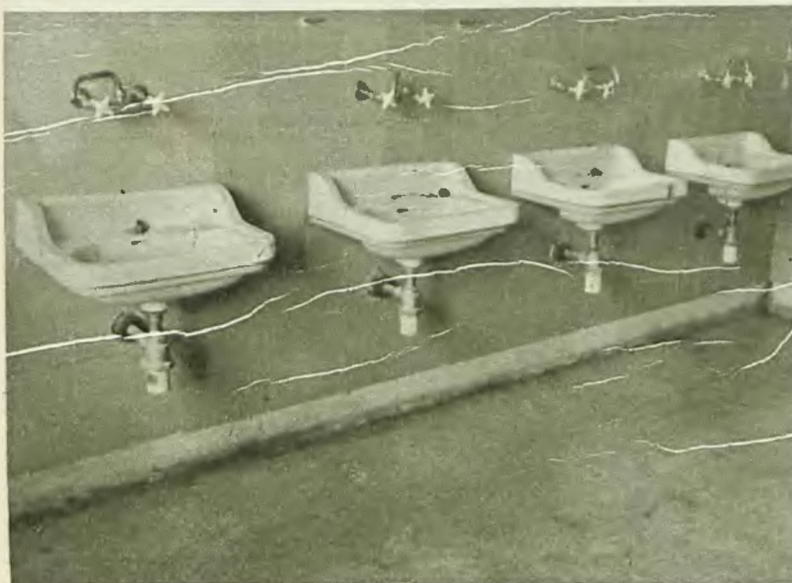
chodzą kontrolerzy z elektrowni. Mieiliby tam na pewno pełne ręce roboty, ponieważ studenci w godzinach szczytowego nasilenia zużywają mnóstwo prądu, paląc maszyny elektryczne. Czyż można im jednak zabronić? Raczej nie. Kiedy przychodzą wieczorem, muszą wypić szklankę gorącej herbaty. Tymczasem miejsca na kuchenki gazowe są, ale kuchenek nie podłączono, bo... nie ma gazu! Tym razem ukłoni pod adresem Gazowni: więcej „gazu” w podłączaniu gazu!

Zdarza się dość często, że nagle zachoruje któryś ze studentów. Pół biedy, jeśli stanie się to do godziny 21. Tak, do 21, ponieważ po tej godzinie poczta na Grochowie kończy urzędowanie. Kierownik, aby wezwać lekarza, stuka od drzwi do drzwi i pyta, kto z mieszkańców okolicznych ma telefon. Trzeba przecież zawezwać lekarza. Cale szczęście, że właściciele domowych telefonów są uprzejmi i cierpliwi. Pozwalają telefonować. Również cierpliwą jest Urząd Poczty i Telegrafów, albowiem już chyba czwarty raz odmówił założenia telefonu „ze względów technicznych”.

Jest jeszcze jedna sprawa, bardzo istotna. W nowym domu akademickim przy Kickiego mieszka też studenci-inwalidzi. Dla nich mieszkanie na Grochowie połączone jest z poważnym kłopotem. Trudno jest im dostać się z Grochowa na uniwersytet. Stosunkowo dalekie dojście do tramwaju, który w godzinach rannych jest niemożliwie przeładowany, nie stwarza wygodnych warunków dla ułomnych. Trzeba pomyśleć o tym, aby znaleźć dla nich pomieszczenie jak najbliższe uniwersytetu.

WANDA MOSSOCZY

Zdjęcia: Zbyszko Siemaszko
Edmund Kupiecki



Bardzo ładnie, ale gdzie ma sływać rozlana na podłozie woda?



Książkom jest na pewno za ciasno na tej jedynej w pokoju półce.

Przy szybie domowego akwarium



Opoczynek — mówi ichtiolog-amator Mieczysław Kusnerz — nie polega na lenistwie, tylko na zmianie wrażeń. Kiedy przyjdę z biura, usiadę przy szybie mojego akwarium... Agapii dzisiaj bardzo agresywnie kręci się koło Pulcherii. A ten fajdak ślimak pożarł nową pęd listcia nenufaru... Takich małych kłopotów i radości, związanych z życiem wlotkich, pełnych wdzięku mieszańców mojego akwarium — mam co dzień mnóstwo, odprężają mnie one, dają wytchnienie i odświeżenie przed pracą, która mnie czeka jutro.

W Warszawie mamy ponad dwustu amatorów-ichtiologów, utrzymujących własne, małe akwaria w domu. Ta forma wypoczynku i rozrywki szczególnie jest rozwinięta na Śląsku, gdzie co trzeci górnik ma akwarium. Wymiana rybek różnych gatunków, kolekcjonowanie i poszukiwanie pożądanego egzemplarza ma w sobie coś z namiętności filatelisty.

Człowiek w mieście ma niewiele okazji do bezpośredniego kontaktu z przyrodą. Pies, ptaki? Nie zawsze mamy po temu warunki mieszkaniowe. Tymczasem rybki nie tylko dostarczają rozrywki i możliwości obserwowania wielu zagadek przyrody, chwytania ich na gorącym uczynku, ale jeszcze stanowią w swoim akwarium ładną dekorację mieszkania. Już i wytwórnia pomocy naukowych sprzedaje, po zupełnie dostępnych cenach, małe, domowe akwaria. Już powstał nawet sklep uspołeczniony tej „branży“, obok dwóch istniejących dotychczas sklepów prywatnych.

— Jestem sportowcem — mówi nasz gospodarz, ob. Kusnerz. — Poza pracą zawodową urzędnika państwowego w czasie wolnym od zajęć oddaję się żeglarskemu, jestem instruktorem, trenerem żeglarskim. Ale w zimie? W zimie — akwarium! Jest to „sport“ dostępny również i dla ludzi, którym wiek czy zdrowie nie pozwala na uprawianie sportów wymagających wysiłku fizycznego.

— Czy wy, akwarzyści, posiadacie jakąś organizację, klub, organ prasowy?



Fot. Jan Styczyński



Zdjęcia: Janusz Smogorzewski

— Nie mamy, a właściwie powinniśmy mieć. Zbieramy się natomiast często, dzielimy się swymi spostrzeżeniami.

— Jakież to spostrzeżenia?

— Spostrzeżeń tych jest dużo! Istnieją tysiące odmian rybek hodowanych w akwariach. Przeważnie są to rybki egzotyczne, ciepłolubne, odznaczające się bogactwem form, barw, zwyczajów. Taki na przykład bojownik indyjski. Jeżeli wpuścimy do akwarium dwa samce, to jeden na pewno legnie na polu bitwy. Toteż nie radzę nikomu stosowania podobnych prób. Natomiast warto od czasu do czasu pokazać takiemu samczykowi... lustro. Przybierze on wówczas wspaniałe kolory bojowe od szkarlatu aż do błękitu, nastroszy łuski i piętwy. Ale trzeba postępować ostrożnie, bo zabiłaka może rzucić się na własne odbicie w lustro z taką zaciekłością, że zabije się o powierzchnię szkła! Albo ębacz. U różnych gatunków rybek opiekę nad potomstwem sprawuje albo mama, albo papa. ębacz-samiec opiekuje się dziećmi w zastępstwie matki, której łpsy potomstwa w ogóle nie obchodzą. Wystarczy puknąć w szybę akwarium, a troskliwy tataś otwiera szeroko gębę, do której chronią się dzieci. Inaczej się sprawa przedstawia z żyworodkami. Tam nie tylko matka nie opiekuje się potomstwem, ale... pożera je, jeżeli tylko na to pozwolić. Trzeba więc w okresie krytycznym zamknąć ją w siateczce, przez której oka uciekną w czas dzieci, zagrożone żarłocznością matki...

Hodowla rybek w akwarium jest nie tylko rozrywką dla dorosłych, stanowić może pożądaną i atrakcyjną naukę dla dzieci w przedszkolach i szkołach. Dzieci mają tu możliwość obserwowania „na żywo“ działania praw biologicznych, których później będą się uczyły w szkole.

M. S.

JESZCZE O POKAZIE MEBLI

Przemysł meblarski, realizując swoje zadania w zakresie wzbogacania asortymentu oraz w dążeniu do zwiększania produkcji mebli w wyższych kategoriach gatunkowych, urządził w miesiącu sierpniu br. w salach Teatru Narodowego w Warszawie pokaz nowych modeli, które ukażą się w produkcji w roku 1955, obok mebli dotychczas produkowanych.

W numerze 34 „Stolicy” z dnia 22 sierpnia opublikowano artykuł pt. „Zwiedziłem wystawę mebli”, w którym zostały krytycznie naświetlone wrażenia autora, podpisującego się inicjałami KK.

Zagadnienie estetycznego urządzenia mieszkania wymaga szerszego omówienia, a przede wszystkim — potraktowania go tak od strony potrzeb użytkowników, jak i stopnia wywłaszczania się przemysłu ze swoich zadań. Krytyczne uwagi na ten temat mogą być tylko pomocą w usuwaniu błędów, pod warunkiem, że



Fotel wypoczynkowy, (projekt CHPD M. Puchala), cena 400 zł.

krytyka będzie oparta o istniejący stan faktyczny. Potraktowanie tego zagadnienia inaczej przynosi więcej szkody niż pożytku, nie tylko w tym wypadku dla użytkowników mebli i przemysłu, ale nawet — dla naszej gospodarki.

Wspomniany artykuł ma niewątpliwie tendencję niewłaściwego przeprowadzenia krytyki. Autor wybrał tu łatwą i niesłuszną drogę, nie zada-

jąc sobie trudu głębszej analizy zagadnienia, nie sprawdzając posiadanych danych. Spowodowało to w rezultacie podawanie nieprawdziwych danych, wprowadzających w błąd czytelnika.

Do zasadniczych zadań przemysłu meblarskiego należy zaopatrywanie rynku w meble dobrej jakości, tanie, estetyczne i w dostatecznej ilości produkowane.

Jak wygląda dziś to zagadnienie od strony ilości? Produkcja mebli w kraju osiągnęła nie spotykane u nas w okresie kapitalistycznym rozmiary. Jeżeli przyjmiemy produkcję przemysłu kluczowego w roku 1949 za 100, to w roku 1954 wskaźnik wynosi 360. Produkcja roku 1949 przewyższała już zresztą produkcję przedwojenną. Poważnie wzrasta również produkcja spółdzielczości i przemysłu terenowego. Mimo tak poważnego wzrostu produkcja ta, oczywiście, nie jest jeszcze wystarczająca. Zapotrzebowanie ilościowe wzrasta w dalszym ciągu. Stan ten jest zupełnie zrozumiały, jeżeli przyjmiemy stały rozwój budownictwa, wzrost dobrobytu ludzi pracy, ogromny przyrost naturalny ludności i postępującą stabilizację warunków bytowych.

Jeżeli obiektywnie ocenimy osiągnięcia przemysłu meblarskiego na odcinku estetyki, a więc formy plastycznej mebli, to należy stwierdzić krytycznie, że ostatnie lata wykazały poważne niedociągnięcia przemysłu w tym kierunku. Istniały opory w wprowadzaniu nowych modeli. Przemysł, mając coraz większe zadania ilościowe, unikał ze względu na trudności organizacyjne wprowadzania zmian produkcyjnych. Tam, gdzie wprowadzano nowe modele — wykonywano je źle jakościowo i nie zawsze przestrzegano zachowania opracowanej przez plastyków nowej formy.

Częściowy przełom nastąpił tu w roku 1954, gdy po raz pierwszy wprowadzono do produkcji większą ilość nowych modeli mebli w różnych kategoriach gatunkowych, a więc meble tanie obok mebli droższych, wykonanych ze szlachetnych, importowanych materiałów i wykończonych na tzw. „wysoki połysk”.

Od strony ceny należy stwierdzić, że kluczowy przemysł meblarski jest regulatorem cen na tym odcinku. Najlepiej wiedzą o tym kupujący me-

ble: różnica w cenach jego produkcji i wyrobów spółdzielczości czy przemysłu terenowego niedawno jeszcze dochodziła do 50 proc., na korzyść przemysłu kluczowego. Na skutek utrzymywania się niższych cen przemysłu kluczowego obserwujemy stałą obniżkę cen u innych wytwórców.

W ten sposób przemysł meblarski stwarza właściwe warunki do podciągania na coraz wyższy poziom jakościowy poszczególnych zakładów produkcyjnych, których załogi dostają trudniejsze zadania.

Wracając do artykułu, o którym była mowa na wstępie, należy stwier-



Jadalnia z płyt wiórowych, 3400 zł (proj. Węclawski — CZPMeb.).

Z jakością produkcji mebli, co trzeba również krytycznie stwierdzić, nie było dobrze dotychczas. Jednak i na tym odcinku, równoległe z wprowadzeniem większej ilości nowych wzorów, nastąpił wyraźny przełom w roku bieżącym. Obecnie można założyć, że przemysł w dalszym ciągu będzie poprawiał jakość swoich wyrobów.

Sierpniowy pokaz mebli nie był pokazem całości produkcji przemysłu meblarskiego. Przyjmując zasadę, że dalsze podnoszenie jakości wykonania, jak również wprowadzanie nowych modeli może być osiągnięte tylko wtedy, gdy na przemysł nakładają się zadania produkcyjne w zakresie wyższych wymagań gatunkowych, w oparciu o analizę potrzeb rynku — przemysł będzie z każdym rokiem zwiększał produkcję mebli w wyższych kategoriach gatunkowych, wykańczanych na wysoki połysk. W stosunku do ilości całej produkcji produkcja tych mebli będzie wynosić w roku 1955 około 10 proc., z dalszym wzrostem w następnych latach. Pokazane wzory świadczyły o poważnym kroku naprzód w tym kierunku.

dzie, że wnikliwy obserwator powinien być zauważyć, co właściwie wtedy pokazano. Widzieliśmy więc ciekawe rozwiązania funkcjonalne wnętrza mebli, mające na celu wygodne ich użytkowanie, jak np. wysuwane półki, wewnętrzne szuflady, urządzenia dodatkowe do przechowywania drobiazgów, wewnętrzne lustra itp. Sprawa formy plastycznej nie może być jeszcze rozwiązana wyłącznie przez przemysł i handel. Na obecnym etapie ma jeszcze bardzo dużo do powiedzenia w tej sprawie użytkownik. A opinia użytkowników jest zupełnie inna, niż autora artykułu. Świadczą o tym wypowiedzi zwiedzających pokaz, które na ogół były pozytywne w stosunku do tego, co im pokazano.

Piszący na temat mebli powinien znać zagadnienie, powinien wiedzieć, że te same trudności, jakie występują u nas, występują w znacznie większym stopniu w innych krajach demokracji ludowych, w Związku Radzieckim, w krajach kapitalistycznych. Upodobania użytkowników mebli do pewnych form nie mogą być łamane w jakiś gwałtowny sposób, przez narzucanie.



Z tej szafki można zrobić biurko (proj. CHPD — M. Puchala). Fot. CAF



Po podniesieniu blatu otrzymujemy zgrabne biurko w cenie 650 zł.



Fotel w cenie 470 złotych (projektowała Chomentowska—IWP).

Autor artykułu nazywa te upodobania krótko: „poziom sztafopowej drobnomieszcząńskiej poprawności”. Jest to, naszym zdaniem, daleko idące uproszczenie krytyki, przeprowadzonej bez analizy elementów takiego a nie innego stanu na szczególnie trudnym odcinku kształtowania upodobań odbiorców mebli.

Z kolei chodzi o sprawę: co produkować, komplety czy pojedyncze sztuki, czy może meble kombinowane? Na ten temat, wbrew twierdzeniom autora, który generalnie jest przeciwny produkcji kompletów stołowych, syplanych i gabinetowych, odbiorcy mebli żądają... kompletów! Oczywiście, są również i amatorzy mebli kombinowanych, lecz ilość ich jest znacznie mniejsza i ogranicza się prawie wyłącznie do rynku warszawskiego.

Zgadza się, że trzeba prowadzić walkę o nowy styl mieszkań, że walkę tę powinno prowadzić CHPD łącznie z przemysłem, przy współpracy plastyków i architektów. Walka taka niewątpliwie jest prowadzona, lecz musi przebiegać ewolucyjnie, by mogła osiągnąć zamierzone rezultaty.

Czy istnieje współpraca projektantów z handlem i przemysłem? Niewątpliwie tak. Współpraca ta w ogniu nieraz ostrych różnic zdań doprowadza do podnoszenia naszego wzornictwa, co wyraźnie było widać na ostatnim pokazie.

Na zakończenie artykułu zostały podane ceny wystawionych mebli: gabinety po 48 tys. zł, jadalnie po 14 tys. zł, szafy 3-drzwiowe po 9 tys. zł. Cen, jakie podaje autor artykułu, nie było na pokazie. Ogólnie zostały one podwyższone przez autora, z niewiadomych przyczyn, czterokrotnie. Taka informacja wkracza już w zakres informacji szkodliwych w stosunku do polityki cen, prowadzonej przez partię i rząd.

Autor podał ceny, w odniesieniu do pokazanych mebli, w najwyższych kategoriach gatunkowych; prawdziwe ceny tych mebli, umieszczone przez cały czas pokazu na tablicach opisowych wszystkich wystawionych mebli, wynoszą: gabinet 12.760 zł, jadalnie od 3.400 do 7.606 zł, szafy 3-drzwiowe od 850 do 2.350 złotych.

Idąc w kierunku dalszych uproszczeń, autor artykułu podaje ceny szaf, tego najbardziej masowego wyrobu przemysłu meblarskiego, na 9.000 zł, nie zauważając wystawionych 3-ch szaf orzechowych, których ceny i wykonanie świadczą o dążeniu przemysłu w kierunku obniżania cen i podwyższania jakości.

Szafa orzechowa nr 162 w obecnej produkcji kosztuje 2.350 zł. Obok niej wystawiono nową szafę orzechową nr 159 w cenie 1.877 zł oraz trzecią szafę, również orzechową nr 154, w cenie 1.700 zł. Sposób wykonania i zastosowania materiałów, jak widzieliśmy, umożliwiły wyprodukowanie lepszych jakościowo mebli o poważnie obniżonych cenach.

Przemysł meblarski ma niewątpliwie wiele błędów i niedociągnięć w swojej pracy. Odbiorcy mebli nie mogą mieć jeszcze powodów do zadowolenia z pracy naszego przemysłu. Rzeczowa krytyka może wiele pomóc dla przyspieszenia poprawy zaopatrywania rynku w meble, szczególnie w obecnym okresie, kiedy po pokazie i zebraniu opinii użytkowników przemysł przygotowuje się energicznie do podjęcia produkcji nowych wzorów.

Artykuły o charakterze tu omawianego nie spełnią w tym zakresie zadania.

M. P.



Plac Konstytucji oglądany z lotu ptaka od strony północno-wschodniej. W głębi — budynek hotelowy. Fot. K. Szczeciński

PIERWSZA DYSKUSJA NAD ZAGADNIENIEM WNETRZ

Staraniem Stowarzyszenia Architektów Polskich (SARP) odbyła się w Warszawie pierwsza publiczna dyskusja nad zagadnieniem projektowania wnętrza. Jako przykład wybrano wnętrza sali restauracyjnej w hotelu MDM na placu Konstytucji.

Zagajając zebranie, arch. Gieysztor wyraził żal, że pierwsza tego typu konferencja odbywa się dopiero dziś, po urządzeniu setek i tysięcy wnętrza. Projekt poddany pod dyskusję wnętrza uważa za chybną. Czy popełnione przez projektanta błędy wypłynęły z kierunku, jaki reprezentował, czy z nieudolności?

— oto zagadnienie, na którym — zdaniem mówcy — należałoby skoncentrować dyskusję.

Dyskusja potoczyła się dość ospale, co nie znaczy wcale, aby pozbawiona była interesujących momentów, tam zwłaszcza, gdy wybiegała poza omawiany przykład,

— Złe oświetlenie, nagromadzenie zbyt wielkiej ilości różnorodnych elementów (marmur, szkło, terrakota...), niepokojąca forma sufitu, śliczne kolumny nie harmonizujące w kolorze ze ścianą, brak oddechu (niskie sufity) — twierdzili jedni.

— Lokal miał trzy przeznaczenia. Zastano gotową już struk-

ture architektoniczną, do której trzeba było przystosować rozwiązanie wnętrza, i to w dodatku w skróconym terminie.

— Zastosowano słuszną zasadę rozstrzygnięcia kolorystycznego; meble są prowizoryczne; partia wejściowa — dobra; rozbić płaszczyzn — zbyt różnicowane, ale jest to błąd powszechny — łagodzą inni.

Tak sobie gwarzyli fachowcy między długimi przerwami, w czasie których przewodniczący uciekał się aż do wymyślnych podstępów, aby zachęcić zebranych do zabierania głosu.

Na płaszczyznę szerszą skierował dyskusję red. Leon Bukowiecki. — Mówi się tu o błędach wnętrza — dowodził — ale czy w takim domu jak hotel MDM może być ładne wnętrza? Ten ohydny dom, z kuchnią na pierwszym planie, przerywa perspektywę. Obok rzeczy pięknych — robi się u nas rzeczy złe, a więc walka nie jest zakończona. Trzeba poszukiwać nowych dróg, gdyż — cytując zdanie Eisensteina — dla nowej, socjalistycznej treści trzeba znaleźć nową formę.

Z innych, padających w dyskusji głosów okazało się, że zagadnienie wnętrza traktowane jest po macoszemu nie tylko w praktyce architektonicznej, lecz i na wyższych uczelniach. Są w Warszawie np. lokale restauracyjno-kawiarniane, które wprost przypominają... remizy strażackie! Hołduje się w nich secesji mieszczańskie. „Delikatesy”, domy PDT spotkały się także z surową krytyką, jako „uprawianie mody po linii najmniejszego oporu”.

Treść w dalszym ciągu szuka najodpowiedniejszej dla siebie formy.

A wnioski? Wśród zebranych wyczuwano się tęsknotę do idei piękna i użyteczności. Jedną jest tu bowiem linia: troski o piękno i wysiłku twórczego.

Kto stworzy wnętrza, które odpowie naszym czasom? — rzucano na dyskusji pytanie, na które ciągle oczekujemy odpowiedzi...

J. Styczeń



W tej sali nowego hotelu na pl. Konstytucji będzie restauracja.



Mieszkańcy domu przy ul. Narbutta 42 pracują przeciw dla siebie...

KIEDY TU WRESZCIE BĘDZIE SKWER?

DZIEWIĄTY ROK CIĄGNIĘ SIĘ SPRAWA
NIEDUŻEGO OGRÓDKA PRZY ULICY NARBUTTA
CO NA TO „ZIELEŃ MIEJSKA”

Ulica Narbutta należy do jednej z ładniejszych ulic Mokotowa. A byłaby najładniejszą, gdyby wreszcie doprowadzono do porządku placyk przy kinie „Stolica”. Na wiosnę i jesienią jest on pokryty kałużami błota, które trudno przebrnąć; w lecie zaś, na smętnych resztkach wypłowiałej trawy, w różnych punktach placyku odbywają się różne zajęcia. W jednym miejscu gromadzą się młodociani wielbiciele gry w karty i z zapalem oddają się hazardowi; w innym miłośnicy sportu grają w piłkę nożną; obok baraszkują dzieci w tumanach kurzu. Placyk ten od dawna mógł być skwerem, bo już w 1945 roku były na jego urządzenie pieniądze. A następnie co roku coś tam dorzucano, by ugor zamienić w tak pożądaną dla dzieci i młodzieży teren zielony. Teraz mija już dziesiąty rok tych wysiłków, a skweru... jak nie ma tak nie ma!

W roku bieżącym nastąpiła pierwsza zmiana. Miłe było zdziwienie mieszkańców w połowie września: ujrzeni gromadę ludzi, pracujących przy niwelacji części skweru. Zaintrygowani obok w ziemię transparent głosił: Mieszkańcy Komitetu Blokowego nr 20 — czynem uczczą Miesiąc Budowy. Czyli duży krok przy uporządkowaniu placyku został zrobiony na platformie pracy społecznej. Miejmy teraz nadzieję, że DRN przyjdzie z pomocą mieszkańcom i na wiosnę powstanie tu nowy zieleniec. Aby tak było, trzeba teraz, na jesieni, fachowymi siłami teren rozplanować, wytyczyć ścieżki i założyć krawężniki, ustawić ławki i posadzić drzewa.

Rozmawiamy z pracującymi. Jakaś starsza niewiasta ociera pot z czoła: No, nareszcie sami zabraliśmy się do tego skwerku. Na przyszły rok będą już trawniki!

Obok ładuje gruz na samochód przewodniczący Komitetu Blokowego ob. Sendrowski. — To już trzeci wywózimy — u-

śmiecha się zadowolony. W porównaniu z zeszlorocznymi pracami w Miesiącu Budowy Stolicy zrobiliśmy duży krok naprzód. I frekwencja jest o wiele lepsza i wydajność pracy o ile wyższa. Coraz bardziej garną się ludzie do roboty. Zresztą dla siebie pracują — konkluduje ob. Sendrowski. No cóż, jeśli chodzi o nasze bolączki — mówię dalej — to najpoważniejszą z nich jest brak pomieszczenia na świetlicę. Tak bardzo chcielibyśmy otoczyć większą opieką młodzież, ułatwić dzieciom, mającym ciężkie warunki mieszkaniowe, odrabianie lekcji i zająć rozrywką kulturalną chłopców, bawiących się często na ulicy. Zresztą o brak świetlicy rozbilo się już tyle planów i projektów. Teraz, w Miesiącu Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej ob. Malinowska zobowiązała się zorganizować i przeprowadzić kurs języka rosyjskiego. Ale, niestety, mimo dużego zainteresowania, nie możemy tego zrealizować. Są już trzy gazetki ściennie, ale także nie ma ich gdzie powiesić. Co prawda na ostatnim zebraniu postanowiliśmy sami zbudować budynek na świetlicę. Plan już posłaliśmy do inspekcji budowlanej i właśnie czekamy na pozwolenie.

— A osiągnięcia?

Ob. Sendrowski uśmiecha się z zakłopotaniem. — Są niewątpliwie. Duży sukces odnieśliśmy w zbiorce złomu i odpadków użytkowych, uzyskując ogółem 7 ton. W ramach zobowiązań pierwszomajowych uporządkowaliśmy wszystkie zieleńce i oczyściliśmy zawałoną oficynę Narbutta 44, wywożąc aż 58 samochodów gruzu. Co się tyczy spraw organizacyjnych, to organizujemy teraz koło Ligi Kobiet, w którym chcemy już wkrótce zacząć pracę. Zresztą za dotychczasowe osiągnięcia nasz Komitet został dwukrotnie odznaczony dyplomem. A jak tylko dostaniemy nową świetlicę, to wyniki naszej pracy będą na pewno jeszcze lepsze!

B. J.

WARSZAWIE POTRZEBNY JEST OGÓLNY PLAN KOMUNIKACYJNY

Jedną z najbardziej palących spraw w odbudowującej się Warszawie jest niewątpliwie rozwiązanie zagadnień komunikacyjnych. Dlatego poświęciliśmy tym zagadnieniom nie tylko szereg artykułów na łamach naszego pisma, lecz także przez organizowanie publicznej dyskusji staraliśmy się dopomóc w poszukiwaniu lekarstwa na liczne, niestety, bolączki, a nawet błędy, o których tak wiele mówiono.

Aby nie pozostać jednak w połowie drogi — należałoby już teraz uczynić dalszy krok naprzód i przejść do wniosków wypływających z dotychczasowej dyskusji.

Z prośbą o ich sformułowanie zwracamy się do red. Kazimierza Wilczyńskiego, który przewodniczył naradzie komunikacyjnej, zorganizowanej przez redakcję „Motoru” i „Stolicy”

— Narada ta — mówi red. Wilczyński — okazała się pożyteczna. Wywołała żywy oddźwięk, choćby w postaci audycji radiowych. Ujawniono na niej liczne niedociągnięcia, zaniedbania, czasem nawet — poważne błędy. Poruszono wprawdzie również wiele drobnych szczegółów, ale i one przecież składają się na całość. Nie można jednak na tym poprzestać. Wprost konieczne wydaje mi się zorganizowanie następnego narad w sprawach komunikacyjnych. To rzecz pilna. Nie wystarczy wsadzić kij w mrowisko, wygłaszając mniej lub bardziej uzasadnione żale i wyrażając osobiste poglądy. W następnych naradach winny wziąć udział osoby, które mogłyby odzwierciedlić nie tylko swój punkt widzenia, lecz i stanowisko reprezentowanych przez siebie instytucji. Jeśli dotychczasowy zły stan komunikacji ma ulec poprawie — wnioski wysnuć z narad powinny być wiążące i przekazywane komu należy z mocą egzekutywy. Deklaracje składane w czasie dyskusji winny być wiążące!

Pytamy, jakie wnioski natury ogólnej można by już sformułować na podstawie usłyszanych głosów i opinii.

— Buduje się nowe osiedla ze zbyt wąskimi uliczkami, co utrudnia ruch samochodowy. Przykładem Grochów. Póki czas należy wprowadzić poprawki (np. poszerzyć ulicę Polną od strony pola Mokotowskiego), gdyż wypadki mnożą się nie tylko z winy kierowców. Albo sprawa oświetlenia miasta. Kto ma to zagadnienie postawić?

— Oczywiście, obok rzeczy ważnych są i drobne, ale doku- cliwe — ciągnie dalej nasz roz-

mówca. — Może od nich zacząć najłatwiej? Np.: rozwojenie t-warów do sklepów winno się odbywać w godzinach małego ruchu, tzn. do ósmej rano. Niestety, przepisu tego się nie przestrzega i przez postoje w czasie wyładowywania towaru powstają „korki”. Albo: co ma zrobić podróżny, przyjeżdżający do Warszawy z większym bagażem? Takśówek bagażowych jest mało i nie mają ustalonego cennika. Jakże łatwo zwiększyć tabor Miejskiego Przedsiębiorstwa Takśówkowego i ustalić cennik.

— A obok rzeczy drobnych — rzeczy ważne. Plac budowlane są w Warszawie na wyrost, ale ulice wyłączone od tej reguły i pozbawiono dobrodziejstwa dalszego rozwoju. Co będzie później, gdy wzrośnie ruch samochodowy? Wielu kłopotów i niedociągnięć można by uniknąć, gdyby przed zatwierdzeniem planów odbudowy odbywały się konsultacje z fachowcami. Na to potrzebna jest inicjatywa Ministerstwa Transportu Drogowego i Lotniczego, a więc Departamentu ruchu i Centralnego Biura Projektów.

— Te wszystkie rozważania prowadzą do jednego wniosku: Warszawie potrzebny jest ogólny plan komunikacyjny! Kto ma być inicjatorem i wnioskodawcą tego planu? Oczywiście, Ministerstwo Transportu, które zajmuje się drogami za miastem, lecz nie dość energicznie wkacza w sprawy komunikacji miejskiej. Tak więc węzłowe zagadnienia komunikacji odsunięte zostały w następnych planach i pracach nad odbudową stolicy na szary koniec. A są to przecież sprawy dla życia miasta niezmiernie ważne. Dość wspomnieć, że Warszawa nie ma szosy okrężnej i drogi tranzytowe biegną poprzez miasto. Nie trzeba być fachowcem, aby rozumieć, jak dalece zmniejszona jest przez to przelotowość ulic i jak trudna jest sytuacja kierowcy spoza miasta. Trochę wyobraźni pomoże nam do przewidzenia sytuacji, powiedzmy, za lat dziesięć. Skoro dziś już nie jest najlepiej, co będzie wówczas, gdy ruch samochodowy znacznie wzrośnie, bo takie są znacznie perspektywy wzmagającego się uprzemysłowienia kraju?

— Dość improwizacji — konkluduje red. Wilczyński — jak to już zresztą podkreślano w naszej dyskusji. Trzeba przedstawić plan i opracować metodę jego realizacji. Trzeba również ustalić odpowiedzialność w dziedzinie planowania komunikacyjnego. Głos ma Ministerstwo Transportu!

J. S.

STUDENCI DLA SWOJEJ STOLICY

Ruch kołowy został na chwilę zatrzymany. Z Bramy Uniwersytetu Warszawskiego wysuwa się długa kolumna młodzieży akademickiej. Powiewają transparenty, rozbrzmiewa wesoła, tryskająca życiem melodia. Z okien stojącego trolejbusu wychylają się głowy pasażerów. Padają pytania zaciekawionych: co to? dokąd idą? Po co? Pierwszą niedzielę października poświęcili studenci wszystkich uczelni warszawskich budowie stolicy. Oto właśnie młodzież uniwersytecka spieszy do Parku Kultury, gdzie czekają na nią prace niwelacyjne i porządkowanie zieleńców. Na czoło kolumny wysuwa się grupa Koreańczyków. I oni także chcą się przyczynić do budowy nowej Warszawy! Praca poszła rażno. Już dawno nie było tak ciepłej i słonecznej niedzieli. Wyrównaniem jednego z większych nasypów zajęli się i rok pedagogiki. Są tu studenci z całej Polski — warszawicy stanowią nieliczny tylko procent, ale wszyscy pracują z jednakowym zapalem.

Godzina 13, koniec pracy. Zmęczeni, ale zadowoleni „pedagodzy” usiedli w stołcu na zasłużony odpoczynek. — Słuchajcie, dziś o 17 w sali kolumnowej wieczornica naszego wydziału! Kto pójdzie? Posypały się liczne zgłoszenia. Organizator i grupy szybko robi listę. O — prawie wszyscy! A więc wieczorem znów się spotykamy...

B. J.

PRACE W KATEDRZE DOBIEGAJĄ KOŃCA



Duże okno gotyckie w katedrze zostanie ozdobione witrażem.



Schody łączące środkową część chóru z bocznymi balkonami zostały wykute z jednego bloku kamienia i podwieszane na ścianie.

Prace nad rekonstrukcją katedry warszawskiej znacznie posunęły się naprzód i obecnie roboty koncentrują się we wnętrzu tego cennego zabytku.

Na ukończeniu jest układanie posadzki z kwadratowych płyt kieleckiego marmuru, pochodzących ze starodawnych kamieniołomów w Dębniku (płyty czarne) i z Bolechowic (płyty brązowe). Jest to nawiązanie do budownictwa renesansowego, w którym stosowano posadzkę dwukolorową, układaną w stosunkowo drobnią szachownicę. Przez środek nawy głównej ułożono szeroki pas z samych czarnych płyt, przez co katedra wydaje się dłuższa.

Cokoły filarów między nawami obłożone zostały płytami z jasnego piaskowca, który jest plastycznym dopełnieniem kolorowej szachownicy posadzki. Połączenie jej bowiem bezpośrednio z tynkiem czy cegłą filarów byłoby zbyt kontrastowe. Tego rodzaju połączenie jest często spotykane w warszawskim budownictwie z późniejszego już okresu (renesans i barok).

Warto przypomnieć, jak kiedyś wyglądała posadzka katedry. Do

XVI wieku była ona z palonej cegły. Dopiero Anna Jagiellonka ufundowała posadzkę marmurową, ułożoną z czworokątnych płyt, oczywiście — ręcznie ciętych. Inne też miały one wymiary niż płyty użyte obecnie w katedrze.

Ocalałe fragmenty starej posadzki ułożone są przy wejściu

Równocześnie prowadzi się prace przy wykańczeniu chóru muzycznego. Brak mu jeszcze tynku oraz balustrady, która jest już zaprojektowana i czeka na realizację.

Sam chór nawiązuje do tradycji warszawskiego budownictwa. Oczywiście, uległ on pewnym modyfikacjom ze względu na skasowanie kruchty. Przy rekonstrukcji chóru wzięto pod uwagę ocalałe jego fragmenty, m. in. wsporniki, podtrzymujące boczne balkony. Wsporniki te z pietyzmem zrekonstruowano, dodano kilka nowych i wmurowano na dawne miejsca.

Część środkowa chóru jest trochę wyższa od bocznych balkonów, z którymi łączy się za pomocą schodów wykutych z jednego bloku kamienia i podwieszonych na ścianie czołowej ka-

tedry. Schody te są majstersztykiem sztuki kamieniarskiej ze względu na skomplikowaną formę i sposób zawieszenia.

Jako modul główny projektowania chóru posłużyła zrekonstruowana krata zygmuntońska, o której już pisaliśmy obszernie. Krata zostanie wkrótce osadzona w bogato rzeźbionym portalu z dębnickiego marmuru, którego oryginalne fragmenty, m. in. herb Wazów, są zachowane.

Na chór będą wiodły dwa wejścia: jedno przez wieżę, drugie, pomocnicze, przez lewą nawę. To drugie, wykute w grubym murze, jest analogiczne do starego wejścia, typowego dla tego rodzaju gotyckiego budownictwa.

Zrekonstruowano też całkowicie podziemia pod chórem, o których odkryciu donosiliśmy w lutym br. W tej chwili przywrócono im dawną formę gotycką, usuwając późniejsze przemurówki. W rezultacie tych prac przywrócono jeszcze jeden ciekawy fragment gotyckiej Warszawy.

Ukończono także rekonstrukcję małej, barokowej krypty w prawej nawie. Krypta, pochodząca z czasów Wazów, znajdowała się pod ławkami kościoła. Dawne

kroniki i tradycja podaje, że była ona miejscem grzebania ławników starej Warszawy.

Nie zapomniano także o zakrystii, przyległej do katedry od strony ul. Kanonii, wybudowanej przez Jakuba Fontanę. Przystąpiono do kładzenia konstrukcji dachowej nad zakrystiami i kapitułarzem, znajdującym się na piętrze.

Wspaniały kapitułarz katedralny i leżące pod nim zakrystie, stanowiące perełkę budownictwa rokokowego, mają już opracowaną dokumentację, która pozwoli na przywrócenie im dawnej, bogatej i wyjątkowo pięknej formy.

Równocześnie z robotami murarskimi w oparciu o dawne wzory, prowadzi się roboty stolarskie: odrzwia, okna i drzwi z dębu, ozdobione ręcznie wykonanymi żelaznymi okuciami, wzorowanymi na ocalałych fragmentach starych okuć. Drzwi przeznaczone dla chóru wykonane są z czarnego dębu, który będzie pięknie kontrastował z jasnymi ścianami budowli.

Tadeusz Komorowski

Zdjęcia autora



Odtworzone wejście na chór.



Cokoły filarów obłożone płytami z jasnego piaskowca, który dopełnia plastycznie kolorową posadzkę.



W sześciu blokach Rakowca zamieszkuje 997 osób. Miniaturowe państewko ma tu na miejscu niemal wszystko, co mu do szczęścia jest potrzebne

„Jestem tu u siebie” — jeśli nie mówi to myśli tę obywatel...



ciśnięta między Ochotą i Okęcie, trochę na uboczu, nad zarosłym trzciną stawem, niby w mieście, ale już poza miastem leży najmniejsza boudaj w Warszawie kolonia — Rakowiec.

Mała „rzeczpospolita rakowiecka”, zniszczona niemal w 90% przez wydarzenia wojenne 1939 i 1944 roku, szybko się odbudowała. Liczy sobie dziś ni mniej ni więcej tylko 997 obywateli zamieszkałych w sześciu blokach. Blok siódmy — to przedmiot dumy mieszkańców osiedla. Dom Społeczny.

Nielatwo jest tu trafić mieszkańcowi innych dzielnic Warszawy. Pytam o drogę spotkanego chłopca.

— Tam jest nasza rzeczpospolita — informuje mnie 12-letni lokalny patriota, wskazując, którędy mam się dostać do osiedla (bo oficjalnie mała republika nosi nazwę „Osiedla zamkniętego Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej” i podlega Dzielnicowej Radzie Narodowej na Ochocie).

Ze patriotyzm ten ma swoje uzasadnienie, przekonałem się, zwiedzając osiedle. Pierwsze wrażenie — to wrażenie zacisznego spokoju, czystości i ładnego prostu: chciałoby się tam mieszkać.

Miniaturowe państewko ma tu na miejscu niemal wszystko, co mu do szczęścia jest potrzebne. Ministerstwo poczty jest wprawdzie reprezentowane przez jedną skrynkę pocztową, natomiast instytucje kulturalne i rozrywkowe są liczne i działają nader sprawnie.

A więc przede wszystkim — teatr. Sala teatralna, obliczona na 340 miejsc, wyposażona w urządzenia wentylacyjne i reflektory. Scenka, garderoby dla

Przy budowie domów mieszkalnych starano się zachować stare drzewa.

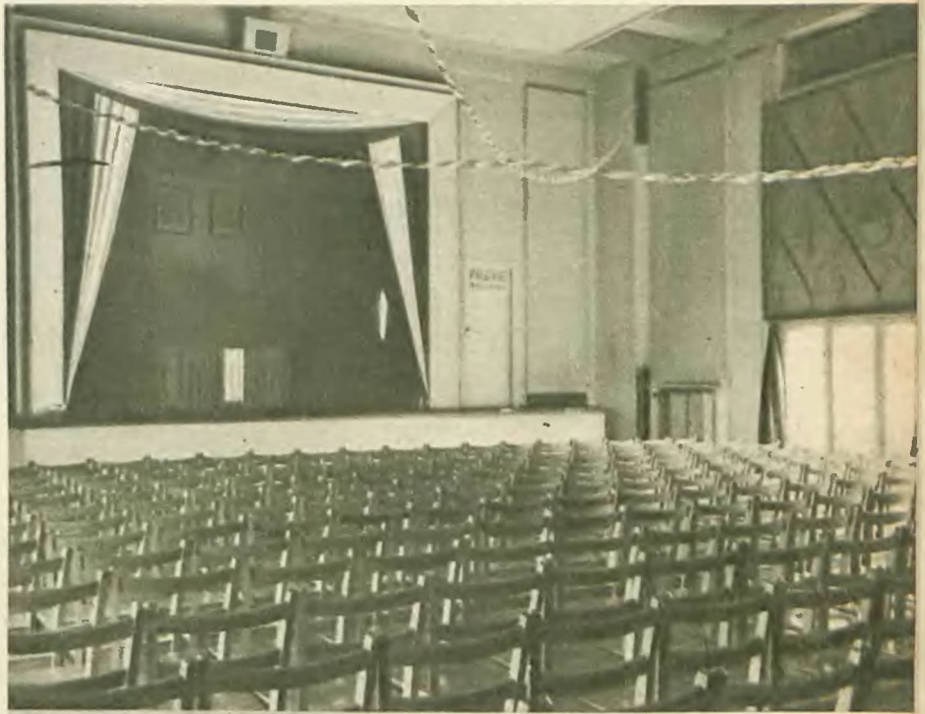


RAKOWIEC

najmniejsza kolonia w Warszawie



Jedna z elewacji domu społecznego, przedmiotu dumy mieszkańców.



Sala teatralna osiedla na 340 osób jest całkowicie wyposażona.



Ogromnym ułatwieniem dla mieszkanek jest pralnia osiedlowa.

Przedkolaki muszą leżeć spokojnie, ale zezują na fotografa.



aktorów, fortepian, szatnia, także kabina, z której wyświetla się filmy wąskotaśmowe. Organizuje się tu przedstawienia teatralne, pokazy filmowe, akademie i zebrania, nawet koncerty chopinowskie. Od czasu do czasu występują gościnnie znani artyści, kiedy indziej wieczory artystyczne wypełnione są produkcjami sił miejscowych. Amatorskie kółko dramatyczne, pracujące pod opieką artysty Teatru Powszechnego Tkaczyka, lubi wielki repertuar. M. in. wystawiono „Kordiana” i „Balladynę” Słowackiego oraz sztukę Czechowa.

Obok — biblioteka i czytelnia czasopism. Biblioteka czynna jest codziennie; obsługuje zarówno dorosłych, jak i młodzież. Nie trzeba więc ani po książki ani po pisma jeździć do miasta, bo komu nie wystarcza czytelnia, ten może sobie kupić gazety w miejscowym kiosku „Ruchu”.

Życie sportowe nie mniej jest ożywione. Samodzielna sekcja sportowa, trenująca pod kierunkiem instruktora, pozostającego na etacie WSM, rozwija się doskonale. Własne place do gier sportowych przyciągają młodzież, która chętnie gra w siatkówkę i piłkę nożną. Bierze nawet udział w międzyosiedlowych zawodach sportowych. Ostatnio mierzyły swe siły ze sobą Koło, Mokotów, Zoliborz i Rakowiec.

Oczywiście — nie koniec na tym. Ładnymi osiągnięciami może się pochwalić Kółko ogródków działkowych, a nie pozostaje za nim w tyle Kółko oświatowe, organizujące różnorodne imprezy, odczyty, uroczystości.

W długie wieczory jesienne i zimowe przyciągająco działa świetlica. Są tam różne gry towarzyskie, jest i radio z adapterem.

Najmłodsi obywatele osiedla także nie próżnują. Kilka dziesiątków dzieciarni spędza dzień w przedszkolu. Teraz jednak — w czasie mojej wizyty — dzieci zastywiają zasłużonego odpoczynku po brawurowej, ale też i męczącej grze „w berka”.

Oprowadzający mnie po osiedlu gospodarze — administrator Bolesław Maciejewski i konserwator Edward Kaliszewski — mają rzeczywiste powody do dumy ze swego gospodarstwa. Miniaturowa kolonia, dzięki wspólnemu wysiłkowi i wspólnej trosce, stworzyła sobie warunki kulturalnego i wygodnego życia, nie dającego odczuwać oddalenia od centrum miasta.

Mieszkańcy mają zapewnioną opiekę lekarską, bowiem w Domu Społecznym mieści się również Przychodnia, w której ordynuje internista.

Sklepów jest tu niedużo, ale wszystkie niezbędne sprawunki można poczynić na miejscu. A więc sklep spożywczy, mięsny, opałowy, a także kiosk ze słodyczami, owocami i napojami.

Gospodynie mają ułatwione życie dzięki pralni, suszarni i maglowni. A dobre warunki sanitarne zapewnione są również przez wanny i prysznic.

Napisałbym na początku, że Rakowiec ma niemal wszystko, co mu potrzebne do szczęścia. Ta niekompletność szczęścia daje się jednak mocno we znaki — bo jest nią brak kanalizacji. Miejscowy samorząd — Rada osiedla — nie ustaje w staraniach, by zdobyć dla swych mieszkańców jeszcze i to. Niestety, nie może przeprowadzić kanalizacji we własnym zakresie, bo na pewno uczyniłaby już to dawno. Społeczność rakowiecka nie uchyla się bowiem od żadnych obowiązków, które mają na celu dobro ogółu. W miesiącu budowy Warszawy — we wrześniu — uprzątnięto gruzy, uporządkowano zieleńce. Aż miło popatrzeć!

J. St.

Zdjęcia: E. Kupiecki i Zb. Siemaszkó



Pierzemy na sucho (mokrej roboty nie uprawiamy). Tym razem prac zamierzamy... warszawskie pralnie chemiczne. Temat to, co prawda, oprany w prasie aż do znudzenia. Ale widocznie konieczna jest dalsza przepierka...

Sprawiedliwość każe przyznać, że coś nie coś poprawiło się na odcinku czyszczenia garderoby. Czuje się wysilek, aby usprawnić ten ciężki odcinek usług.

Wysilek ten uwidacznia się choćby w porządniejszym utrzymaniu punktów przyjmujących i wydających garderobę, nie mówiąc już o tym, że zmniejsza się procent niedoprannej garderoby, na co dawniej tak często się skarżono.

Pamiętam sam, jak przed kilku miesiącami oddano mi z prania marynarkę w odcieniu wyraźnie ciemniejszym od spodni tego samego ubrania. — Widocznie jedno uprali „na sucho”, drugie „na mokro” — oświadczyła miła ekspedientka.

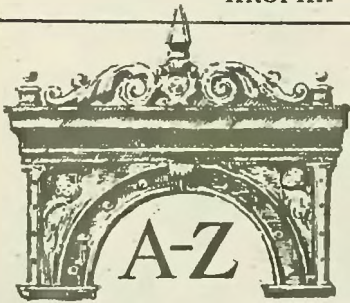
Niedobrze jest jeszcze z dotrzymywaniem terminów i na tym tle dochodzi często do nieprzyjemnych scysji.

Zrozumiałe rozżalenie klientów skrupia się na niewinnych pracowniczkach kantorów. Podziwiać nam trzeba opowiadanie, z jakim wystuchiwac muszą ostrych, przykrych nieraz, wymówek. Kolega Zbyszek z naszej redakcji, któremu pralnia chemiczna „Tęcza” — punkt na ulicy Puławskiej przy bazarze — wyznaczyła termin odebrania garderoby na 6.IX. br., zachodził tam przez cały wrzesień, I nic!

— Zadomowilem się tam. Nie mam już serca gniewać się dłużej na ekspedientkę — rzekł Zbyszek — ale ubrania też nie mam — dodał, smutnie kiwając głową.

Rozumiemy, że w pralnictwie chemicznym są sezony czy okresy nawatu zleceń, że i na tym odcinku przeżywamy swego rodzaju „chorobę wzrostu”, zapotrzebowanie wciąż się zwiększa, a pralni — jeszcze za mało. Ale jednak trzeba bardziej radykalnie wzmóc poprawę w dotrzymywaniu przez pralnie chemiczne i tak mocno przydługich terminów.

KROPKA



APROBATA — potwierdzenie, wyrażenie zgody, uznanie za dobre.

GEMMA — kamień z wyciętym na nim wizerunkiem osoby

Z POBYTU W WARSZAWIE »OJCA MUZYKI ROSYJSKIEJ«

Ostatnio odsłonięto tablicę pamiątkową na domu przy skrzyżowaniu ulic Wierzbowej i Niecałej, zbudowanego na tym samym miejscu, gdzie stał dawniej dom, w którym mieszkał Michał Glinka, genialny kompozytor rosyjski, zwany słusznie „ojcem muzyki rosyjskiej” (1804—1857). Okoliczności, dotyczące pobytu Glinki w Warszawie, są na ogół mało znane. Szkoda wielka, że temat ten nie znalazł się dotąd w sferze zainteresowań naszych muzykologów, chociaż ma tak poważne znaczenie dla dziejów rozwoju przyjaźni między wybitnymi Polakami i Rosjanami.

Nie pretendując bynajmniej do szerszego i głębszego omówienia całej historii zamieszkania Glinki w Warszawie, podajemy tu skrócony terminarzyk tych „warszawskich” lat twórcy



Widok wiejski z okolic Warszawy, rys. I. Palma w albumie Glinki. Rysunek ten publikujemy po raz pierwszy w prasie polskiej.

„Iwana Susanina” i tylu innych arcydzieł muzycznych, z których parę, bardzo ważnych, z „Kamarińską” na czele, powstało właśnie w naszej stolicy.

Nękany przykrymi sprawami natury rodzinnej, zniechęcony do carskiego i urzędniczego Petersburga, Glinka dość często szukał zapomnienia i ukojenia w podróży zagranicznych. W Warszawie przebywał prawie stale w latach 1848—1851.

1848 — marzec — przyjazd do Warszawy. Wkrótce po tym incydent z Paskiewiczem, który, oburzony, że towarzysz Glinki nie zdjął przed nim kapelusza, o mały włos nie najechał koniem na kompozytora. Glinka zamieszkał przy ul. Rymarskiej.

lub rzeczy, wkłęstym lub wypukłym. Gdy wizerunek jest wypukły — mamy do czynienia z kameą. Gemmy były znane już w głębokiej starożytności, od IV tysiąclecia przed naszą erą. Szeroko w starożytności rozpowszechnione, miały różnorakie znaczenie: amuletów, znaków własności, pieczęci, ozdób. Są one cennym źródłem przy badaniu dziejów kultury i sztuki. Gemmy współczesne mają jedynie wartość dzieł sztuki. MELIORACJA — nauka o ra-

1848 — maj — wycieczka w gronie znajomych na Bielany, w czasie której Glinka komponuje romans pt.: „Słyszę twój głos”.

1848 — jesień — notatka Glinki: „Wieczorami przychodzili znajomi, urządzano tańce, gdy potrzebne były inne pary, to dwie dość młode Polki — kucharka i młodsza — także płały...” Glinka jest otoczony w Warszawie przez grono przyjaciół, wysoce wykształconych, obdarzonych wybitnymi zdolnościami w dziedzinie jakiejś sztuki. Do liczby ich należy Palm, który narysował portret Glinki.

1848 — listopad — 1849 — maj — pobyt w Petersburgu.

1849 — od maja Glinka mieszka przy ul. Niecałej. Zaczyna „stopniowo odczuwać atak chandr... Od jednej strony w mie-



Szkic głowy Glinki z 1849 roku. (Mal. K. Briullow, Ros. Muz. P.).

kole najbliższych przyjaciół. „Muza staje się łaskawsza”.

1849 — jesień — Glinka spotyka się ze znanym swego czasu kompozytorem operowym Karolem Kumpińskim i motuje: „Był on człowiekiem wykształconym i z przyjemnością rozmawiałem z nim o sztuce”.

1850 — styczeń — jedno z petersburskich czasopism donosi, że „nasz utalentowany kompozytor Glinka znów opuścił Petersburg i mieszka w Warszawie, gdzie klimat bardziej odpowiada jego zepsutemu zdrowiu”. Wzmianka w liście jednego ze współczesnych: „Glinka mieszka w Warszawie i czuje się dobrze”.

1850 — maj — w teatrze, po zakończeniu dramatu, wykonano w obecności Glinki mazurka z „Iwana Susanina”. Publiczność zgłosiła kompozytorowi owa-
cję.

1850 — październik — Glinka prznosi się do domu Natanson na ulicy Nalewki. Zaprasza do Warszawy swą matkę i siostrę, pisząc, że „prócz chleba i soli — mogę na wasze żądanie ugościć was nie zupełnie złą muzyką”.

1851 — czerwiec — na wieść o zgonie matki Glinka traci władzę w prawej ręce; nie może na razie pisać listów ani grać na fortepianie.

1851 — wrzesień — Glinka pocztową kareta udaje się do Petersburga, zamykając tym samym okres swego pobytu w Warszawie.

(wg pracy A. Orłowej
podał jk)

szkaniu okna wychodziły na ogród Saski. Gęste, nie piramidalne topole w czasie zlej pogody zasłaniały światło, a szum gałęzi i liści w czasie wiatru sprowadzały smutek na duszę”.

1849 — lato — Glinka odczuwa głęboko grę na organach Frejera w kościele ewangelickim. Spotyka w domu A. Astafiewa muzyków, malarzy, aktorów, a często i baletnice opery warszawskiej.

1849 — wrzesień — Glinka komponuje romans „Rozmowa” do polskich słów Mickiewicza, dedykując go jednej ze swych warszawskich znajomych. W tymże miesiącu prznosi się do bardziej odosobnionej dzielnicy miasta, gdzie postanawia żyć w

dykalnym ulepszaniu gruntów dla gospodarki rolnej, przez osuszanie bagien, utrwalanie wydm piaszczystych, zakładanie lasów, urządzenie stawów i zbiorników wodnych itp.

PARADOKS — 1. myśl lub opinia, całkowicie odmienne od ogólnie przyjętych czy obowiązujących, sprzeczne — niekiedy tylko pozornie — ze zdrowym rozsądkiem; 2. w nauce: niespodziewane zjawisko, nie odpowiadające przyjętym wyobrażeniom.



Tablica przy ulicy Niecałej. Fot. E. Kupiecki



Cü Juan, wielki poeta chiński. Figurka z glinki kaolinowej, z glazurą spękaną.

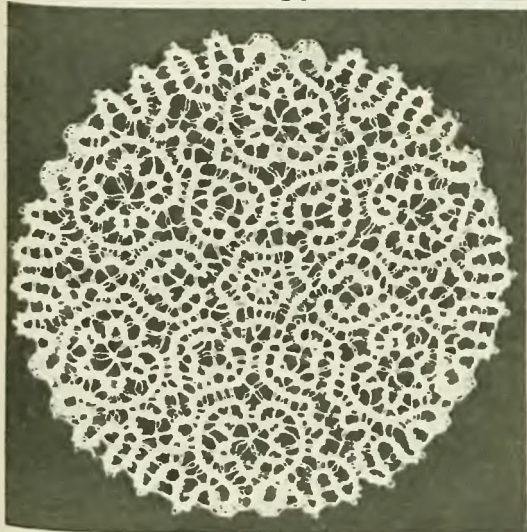


Waza dekoracyjna z nakrywą. Emała kórnkowa na miedzi, forma tradycyjna.

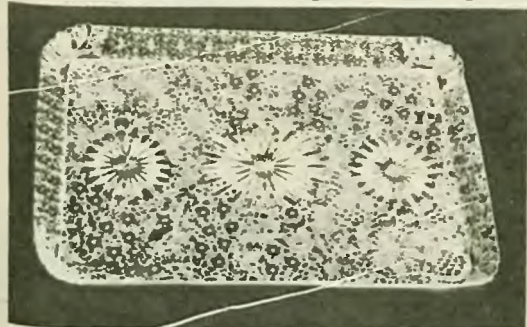


Wazonik z porcelany krytej glazurą szarobiałą spękaną, typu zwanego ko-jao.

Tysiące zwiedzających z olbrzymim zainteresowaniem oglądają wystawę rzemiosła artystycznego Chińskiej Republiki Ludowej, otwartą w siedmiu salach warszawskiej Zachęty. Początki dziejów tego rzemiosła sięgają czasów bardzo odległych. Już w trzecim



Serwetka z koronki klockowej jest świadectwem zdolności artystów ludowych.



Taca z filigrana srebrnego, produkcji pekińskiej, przypomina piękną koronkę.



Pudełko do stolicy z czerwonej rzeźbionej laki wykonane zostało w Pekinie.

CHIŃSKIE RZEMIOSŁO ARTYSTYCZNE

tysiącleciu przed naszą erą Chińczycy wyrabiali z gliny pięknie zdobione naczynia i inne przedmioty. Wrodzona pracowitość i zdolność do wykorzystywania różnego rodzaju surowców pozwoliły Chińczykom na rozwinięcie wielu gałęzi rzemiosła artystycznego. Poza takimi surowcami, jak glina, drewno, len, jedwab, złoto, srebro, wiklina, których użycie w przemyśle artystycznym jest szeroko rozpowszechnione w Polsce, Chińczycy stosują wiele innych, mniej znanych u nas lub w ogóle nieużywanych, jak bambus, laka, włókna palmowe, tykwa, mąka ryżowa, konopie, nefryt, lapis-lazuli, różnego rodzaju kwarcy. Na obecnej wystawie warszawskiej reprezentowane są m. inn. takie działy rzemiosła artystycznego, jak ceramika, barwne tkactwo, hafciarstwo, rzeźba, wyroby z laki i kamieni półszlachetnych, wyroby z metali, plecionki, wycinanki, meble. Wytwarzaniem tych przedmiotów zajmują się fabryki i manufaktury państwowe oraz ludowi twórcy, indywidualni lub zrzeszeni w spółdzielniach. Ślęgając swymi korzeniami w głęboką starożytność, dopiero po roku 1949, w Chińskiej Republice Ludowej, rzemiosło artystyczne mogło znaleźć wszystkie warunki harmonijnego rozwoju w służbie człowieka pracy.

Sztuka chińska jest twórczością głęboko humanistyczną. Pragnie ona, jak już wspomniano, służyć człowiekowi. Wprowadzić piękno do jego najbliższego otoczenia, przedstawiać jego pracę i zabawę, opiewać jego nowe życie. Dlatego i w wyrobach przemysłu artystycznego, eksponowanych na wystawie w Zachęcie, postać ludzka staje się częstym motywem zdobniczym, względnie tematem drobnej rzeźby ceramicznej.

Wystawa obecna, otwarta w okresie, gdy wielki naród chiński obchodzi uroczystą piątą rocznicę utworzenia swego naprawdę niepodległego i suwerennego państwa — jest świadectwem odwiecznej kultury i geniuszu twórczego, pomysłowości i pracowitości Chińczyków. Przyczyniła się do zaznajomienia najszerszych mas naszego społeczeństwa z życiem i ze sztuką Chin Ludowych, stanowi dla

polskich artystów i rzemieślników cenne źródło doświadczeń. Jest także przejawem dalszego zacieśniania więzów wszechstronnej współpracy i serdecznej przyjaźni narodu polskiego z narodem chińskim. (Jk)



Papuga na gałęzi kwitnącej śliwy, obraz do dekoracji ścian, haft na jedwabiu.



Koszyczek do przechowywania pokarmów, z plecionki bambusowej malowanej laką.



„Do ognia” — rysunek Waclawa Pawliszaka, wykonany dla „Tygodnika Ilustrowanego” w roku 1905-ym

Stawa Straż Ogniora w Warszawie

Wielką zawsze sympatią cieszyła się w Warszawie Straż Ogniora i poszczególne strażacy, w czasach zaboru wyłącznie prawie — Polacy, bohaterowie wielu opowiadań, anegdot i rysunków z „Muchy” lub „Kurjera świątecznego”, uwiecznieni w rysunkach Kostrzewskiego.

Organizacją techniczną, etatami, sprzętem zajęli się już dawniej: dr W. Wikarski w broszurce pt. „Nasza dzielna straż ogniora” z 1897 roku i dr E. Boss w pracy pt. „Dzieje Warszawskiej Straży Ogniorowej”, z 1937 roku. Znaleźć tam można wszelkie dane, dotyczące Straży Ogniorowej od jej powstania, tj. od 1834 roku.

Na tym miejscu chciałbym omówić niektóre szczegóły, pominięte w tamtych opracowaniach.

Straż ogniora dzielnie i sprawnie spełniała swe obowiązki, stawiając się na alarm w ciągu rekordowo krótkiego czasu. W pierwszych latach XX wieku,

gdzie telefony były jeszcze w powijakach, sposób alarmowania był zupełnie prymitywny. Polegał on w pierwszym rzędzie na obserwacji wzrokowej strażaka, wartującego na wieży w istniejących wówczas pięciu oddziałach straży. Alarmującą w danym razie cechą był dym specjalnego rodzaju lub nawet pojawienie się ognia. Alarm następował za pomocą dzwonka na wieży i uruchomienia czarnej kuli na sznurze; dzwonkowi na wieży niezwłocznie odpowiadał alarmowy dzwonek wartownika przy bramie, stawiający na nogi właściwy oddział straży. Przewidziane były i inne sposoby, jak bicie w dzwony kościelne, kołatki dozorców nocnych lub bezpośredni, ustny meldunek o pożarze policji lub dozorców.

Do czasu zainstalowania telefonicznej sygnalizacji, tj. do pierwszych lat XX stulecia, czas między alarmem i przybyciem na miejsce pożaru wynosił od 15 do 25 minut, w zależności od odległości, koniecz-

nej do przebycia. W roku 1907 wyjazd oddziału straży następował w 2 — 3 minuty po alarmie. Był to więc czas niemal rekordowy.

Bezki, wozy rekwizytowe, sikawki stały zwrócone zawsze dyszlami w stronę wielkich wrót wozowni, szybko otwieranych na oścież. Zaprzęgi, ostatnio typu rosyjskiego, bardzo praktyczne w użyciu, były tak skonstruowane i przygotowane, że konie ubrane i zaprzęzione gotowe były do wyjazdu dosłownie w ciągu sekund. Najciekawsze było to, że konie, z natury pojętne i ułożone częstymi ćwiczeniami, same wsuwały łby w nadstawione chomąta, same stawały na swoje miejsca, woznica — strażak tylko zapinał odpowiednie haki i karabińczyki. Konie okazywały zadowolenie z okazji przejażdżki i możliwości wylądowania nagromadzonej energii.

Tutaj należy dać pewną charakterystykę tych koni, stanowiących podstawę akcji straży

i nadających całemu wyjazdowi tyle efektu i malowniczości.

STRAŻACKIE RUMAKI

Konie były sprowadzane ze stadnin stepowych rosyjskich dość jednolitego typu, rosły, dobrze zbudowane, o obfitych i starannie utrzymanych grzywach i ogonach. Były to wyłącznie ogiery, co przy odpowiednim, bardzo intensywnym żywieniu i nie przeciążaniu pracą — zapewniało zarówno pełne tempo jazdy do ognia, jak i odpowiednią siłę pociagową. Konie były starannie dobierane w poszczególnych oddziałach maścią, a mianowicie:

Oddział I nalewkowski miał konie kare,

Oddział II ratuszowy miał konie kasztanowate,

Oddział III nowoświecki miał konie gniade,

Oddział IV mirowski miał konie skaro-gniade,

Oddział V praski miał konie różne.

Te ostatnie przedstawiały niezwykle barwny widok: były tam różnej maści: srokate, siwe, tarantki, bułane itp.

Konie strażackie były też starymi modelami malarzy warszawskich, jak Antoni Piotrowski czy Waclaw Pawliszak, pozowały w szkołach rysunkowych, brały również udział w przedstawieniach teatralnych, np. w operze „Carmen” czy w operetce „Manewry jesienne”.

W teatrze zazwyczaj „grał” stary ogier z praskiego oddziału, maści tarantowatej, najlepiej widocznie obeznany z deskami teatralnymi i dający pełną gwarancję spokojnego zachowania się między kulisami, statystami, orkiestrą itd.

Porządek wyjazdu do ognia był następujący: pierwszy na alarm wyruszał konny wywiadowca, zdążając klusem w kierunku ognia, by dokładnie ustalić jego miejsce, gdyż wartownik wieżowy podawał jedynie kierunek, w jakim dostrzeżono pożar.

Po paru minutach wyruszała cała straż z bramy koszarowej, zdążając w ślad za konnym wywiadowcą. Straż wyjeżdżała z sygnałem trębacza na pierwszym wozie, grającego kawaleryjski sygnał, oznaczający w kawalerii rosyjskiej tzw. „rozsympkę”, zaś w kawalerii polskiej — sygnał zbiórki.



Ratuszowy oddział Straży pędzi do pożaru ulicą Senatorską.



Defilada Straży Ogniorowej przed gmachem hotelu „Europejskiego”.

STRAŻ PĘDZI DO OGNI

Był to widok niepowszedni... Beczki, napełnione wodą w liczbie nieraz dziesięciu, kilka sikawek z węzami, początkowo ręcznych, przed samą wojną już parowych, zaprzężonych wtedy w cztery konie w poręcz, kilka wozów rekwizytowych z drabinami, bosakami, węzami itp., ze dwa tzw. „omnibusy“ ze strażakami Wszystkie pojazdy w kolorze szarawym, na mocnych kołach. Strażacy — część w szarych kurtkach dwurzędowych ze srebrnymi guzikami, niebieskimi patkami na kołnierzach i niebieskimi naramiennikami, część zaś w grubych brezentowych czy azbestowych ubraniach, a wszyscy w hełmach mosiężnych z syreną na przodzie i z wielkimi grzebieniami. Hełmy te były zbliżone w swych sylwetkach do klasycznych rzymskich, wypolerowane do pełnego połysku, co było ambicją każdego strażaka.

Woznica trzymał całą siłą rąk rwące konie. Dawało się nieraz zauważyć, że strażak był prawie unoszony z koziołka pyskami swych koni, za pośrednictwem lejc tak, że właściwie beczka czy wóz był chwilami ciągniony nie chomątem i postronkami, a pyskiem i lejcami, poprzez ręce i wsparte o podpórkę nogi woznicy.

Piękny był widok rwących koni, pełnych temperamentu i siły! Widok wyjeżdżającej do ognia straży był jeszcze efekowniejszy w nocy, kiedy na wozach rekwizytowych i tzw. „omnibusach“ jeden ze strażaków trzymał pochodnię.

Mocowanie się rąk wozniców z pyskami rwących naprzód koni trwało do momentu ukazania się konnego wywiadowcy, który zdążył już stwierdzić dokładnie miejsce ognia i galopem walił naprzeciw oddziału straży.

Po osiągnięciu przez konnego wywiadowcę i kolumny straży łączności wzrokowej — moment wyczekiwany przede wszystkim przez konie — wywiawca zawraca w miejscu i pełnym galopem jedzie do ognia, już bezpośrednio dając kierunek i prowadząc swój oddział straży. W tym momencie następuje zwolnienie naciągniętych jak struny lejc i jazda — pełnym tempem do ognia!

Impet i tempo jazdy, różnorodnie odgłosy, uzupełniające dzwonki przy dyszlach wozów, tupot nóg końskich, turkot po bruku ciężkich wozów, trębacz na pierwszym wozie — wszystko to, przy wspaniałym wyglądzie ludzi, koni, wozów, zmuszało każdego do zatrzymania się na ulicy i podziwiania pełnego majestatu i grozy widoku.

W miarę doskonalenia środków technicznych, upraszczania ubioru strażackiego, motoryzowania straży, straciła ona wiele ze swej malowniczości, jednak zyskała na sile ratowniczej i szybkości. Ustała konieczność wysyłania całego oddziału na alarm: dziś wyjeżdża już tylko pogotowie, zaopatrzone we wszystko, co trzeba w pierwszej chwili. W miarę potrzeby wzywane są dodatkowe wozy, z potrzebnym sprzętem i obsadą.

Malowniczość się może zmniejszyła, ale sympatia warszawiaków do swej Straży — nie uległa na pewno zmianie!

Stanisław Gepner

Z DZIEJÓW POMNIKA SOBIESKIEGO



Gipsowy pomnik Sobieskiego, wystawiony w Wilanowie ok. 1720 r.

Pietyzm dla świetnych kart narodowej historii jest jedną z charakterystycznych cech doby Oświecenia w Polsce, w której literatura i sztuka przypomina i wysławia wielkie momenty naszych dziejów, by rozbudzić narodową dumę i patriotyzm, wygasłe w okresie rządów saskich.

Postać Jana III staje się szczególnie popularną. mnożą się jego podobizny i wyobrażenia jego zwycięstw, a sam Stanisław August na Zamku i w Łazienkach każe swym artystom rzeźbić i malować rysy króla - bohatera.

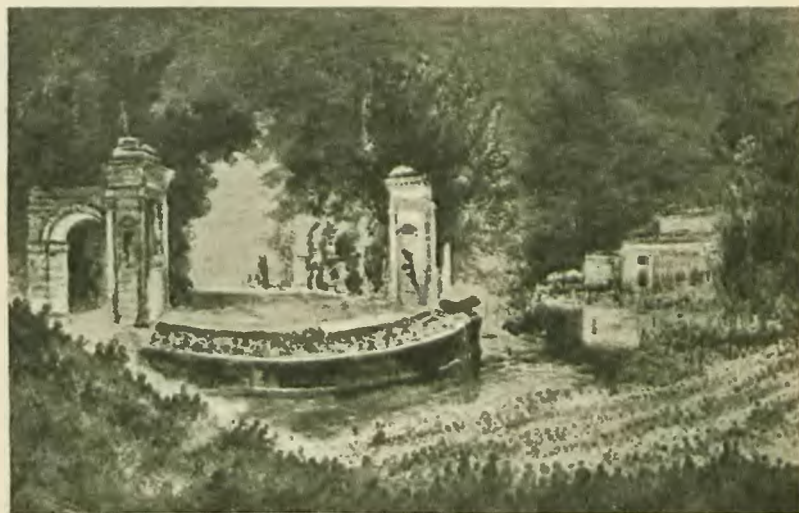
Czołowym osiągnięciem w tej dziedzinie jest pomnik, wystawiony w 1788 r. na łazienkowskim moście, dłuta Franciszka Pincka, królewskiego rzeźbiarza, wykonany według projektu Lebruna, a wzorowany na gipsowym konnym pomniku, który Elżbieta Sieniawska wystawiła około 1720 r. w Wilanowie, po zakupieniu od Konstantego Sobieskiego podwarszawskiej rezydencji Jana III. Uroczyste odsłonięcie łazienkowskiego pomnika nastąpiło wkrótce po powrocie króla z Kaniowa, gdzie przy spotkaniu z Katarzyną II omawiano między innymi możliwość wspólnej wojny z Turcją.

Ciekawy opis odsłonięcia znajdujemy w korespondencji Sta-

nie przyjęto jak Murzyna z powodu sejmików lubelskich. Wreszcie, uzbrojony w zapas bezczelności, udałem się do Łazienek na 4-ą popoł. Feta rozpoczęła się od turnieju, który trwał przeszło dwie godziny. Mężczyźni byli ładnie odziani i dość zręczni, amfiteatr gustownie przybrany i widok ogólny bardzo ładny, szczególnie wjazdowskiego wzgórza, pokrytego od góry do dołu tysiącnym co najmniej tłumem ludzi. Damy wszystkie ubrały się w suknie białe z czerwonym. Księżna de Nassau przypominała ilustracje z dawnych wydań molierowskich „Pociesznych modni“, ale twierdziła, że jest przybrana jak heroina z XIII w. Na głowie miała największy pióropus, jaki kiedykolwiek widziano. Po skończonym turnieju udali się wszyscy do nowego teatru w Łazienkach, jest czarujący, uraczono nas tam polską kantatą na cześć króla Jana, której moje uszy, nawykłe do włoskiej muzyki, z trudem wystuchały. Następnie odbył się balet heroiczny wcale udany. Z teatru zaprowadzono nas do pawilonu króla, sadzawka przed mostem i pomnik króla Jana były iluminowane, co tworzyło prześliczny widok. Podano pod namiotami kolację dla tłumów zaproszonych, po czym nastąpiło rozdanie nagród bohaterom turnieju. Wojewodzina braciawska, miecznikowa Humiecka i Księżna de Nassau z tytułu powinowactwa z królem Janem wieńczyły zwycięzców. Całość zakończył piękny fajerwerk i spacer łódkami, z którego, jako buntownik, zostałem zresztą wykluczony. Otóż, moja droga, szczegółowy opis uroczystości, która musiała króla co najmniej 12.000 dukatów kosztować, a wszystko na inaugurację pomnika nie wartego nawet trzystu!!!“

B. T.

„W sobotę zakrzętnąłem się, by uzyskać zaproszenie na niedzielną uroczystość. W tym celu trzeba było znów w niedzielę pokłonić się osobiście królowi. Udaliśmy się z Sapiehą na Zamek, gdzie



Uroczystość w teatrze na wyspie, według szkicu Jana Norblina. Zdjęcia: H. Romanowski

TURYSTYKA
WYPOCZYNEK

Czy znacie okolice Warszawy?

RUDZIENKO: DWÓR DREWNIANY Z POCZĄTKU XIX W.



Zabytkowy dwór w Rudzienku, pochodzący z II ćwierci XIX wieku, znany jest tylko historykom sztuki.

11 km od Mińska Mazowieckiego przy szosie Kołbielskiej położona jest wieś Rudzienko, w której znajduje się jeden z najpiękniejszych zabytków budownictwa drewnianego w okolicach Warszawy: klasycystyczny dwór drewniany z II ćwierci XIX wieku. Obiekt ten, nigdzie dotąd nie publikowany, znany jest tylko niewielkiej grupie hi-

storyków sztuki i architektów. Zasluguje tym więcej na uwagę, że do dziś zachował się bez większych przekształceń.

Dwór posiada charakter wybitnie polski. Jest to parterowy budynek, nakryty proporcjonalnym, czterospadowym dachem. Od frontu posiada kolumnowy, murowany ganek. Systematyczne rozmieszczenie okien oraz kominów sprawia, że dwór sta-

nowi niezwykle harmonijną całość. Nowsza przybudówka zasłonięta jest krzakami.

Z wnętrza (użytkowanych obecnie przez szkołę) zwraca uwagę salon od ogrodu, przedzielony dwiema parami kolumn. Pozostałe pomieszczenia nie posiadają wartości artystycznej.

Opodal dworu położony jest malowniczy, murowany lamus, pochodzący z tego samego okresu, z frontonem wspartym na dwóch kolumnach. Przed podjazdem znajduje się zegar słoneczny z białego marmuru, w kształcie kolumny, z wyrytymi literami M. G. i rokiem 1843.

Założenie parkowe zachowane jest szczątkowo.

Wycieczkę do Rudzienia polecamy zwłaszcza interesującym się architekturą polską. Trudno o lepszy przykład rodzimej formy klasycyzmu.

Dojazd pociągiem elektrycznym do Mińska Mazowieckiego i następnie szosą w kierunku Kołbieli ok. 11 km, albo PKS z Warszawy do wsi Stojadła i potem szosą w kierunku Kołbieli, ok. 10 km.

T. J.

Zdjęcia: A. Olszewski



Murowany lamus, położony opodal dworu, jest jego rówieśnikiem.

NASZA WYCIECZKA NA MAZURY

880 GODZIN ROBOCZYCH W RAMACH ŁĄCZNOŚCI MIASTA ZE WSIA

Myśl urządzenia wycieczki turystycznej - krajoznawczej powstała u nas na jednym z zebrań naszego koła ZMP. Postanowiliśmy jednak podejść do tej sprawy nie tylko od strony przyjemności, jaką daje poznanie pięknych rejonów naszej ojczyzny. Ktoś rzucił projekt wykorzystania naszej wyprawy dla szerzenia polskości na tej „ziemi serdecznie znajomej”. Z zapałem podchwyciliśmy tę myśl. Rozpoczęły się przygotowania, trwające 8 miesięcy. Patronowała im, jak i całej wyprawie, nasza wychowaw-

czyni Czesława Dudek. Nawiązaliśmy przede wszystkim kontakt z dziećmi szkół pow. mławowskiego, wysyłając listy wraz z książkami do nieznanym nam jeszcze harcerzy. Wrótce wpłynęły od nich „oficjalne” zaproszenia. Gorączka naszych przygotowań się wzmogła.

Wreszcie w dniu 4 lipca, uzbrojone w dobrze przygotowany cykl wieczorów artystycznych o Polsce i o Warszawie i w jeszcze lepsze chęci służenia sprawie polskości, wyruszyliśmy na wędrowną, rozpoczynając ją od Olsztyna. Interpretując — na-

szym zdaniem właściwie — uchwaliły II Zjazdu Partii chciałyśmy nawiązać serdeczny kontakt ze wsią, wierząc, że ten kontakt młodych dziewcząt — przyszłych nauczycielek z najbardziej na północ wysuniętą wsią polską winien dać dodatkowy efekt i... wypaść na piątkę.

Po zwiedzeniu Olsztyna i jego pięknych zabytków wyruszyłyśmy do zespołu PGR w Sorkwicach. Tu otrzymałyśmy „przebieg pracy” do majątku Rozogi. Bardzo gościnnie przyjęte, rozpoczęłyśmy pracę przy piele-

waliśmy sobie sprawę, że jesteśmy „niewykwalifikowanymi robotnicami”, to jednak czyniłyśmy wszelkie wysiłki, aby dorównać robotnikom — Mazurkom. Srebrzysty śmiech trzydziestu dziewcząt niósł się po miedzach, porośniętych macierzanką i płaczącą brzozą. Ileż radości sprawiał każdy wypielony rząd buraków cukrowych! Sprawdzaliśmy nie tylko ilość, ale i jakość wykonanej pracy. Cieszyliśmy się każdym słowem polskim, płynącym z ust początkowo nieufnie odnoszącego się do nas Mazura. Cieszyliśmy się gojącą się raną u dziecka, które otrzymało od nas pierwszą pomoc, kąpielą w cudnych jeziorach, zbieraniem poziomek i grzybów i wreszcie wspaniałą pogodą, tak bardzo pomocną nam w pracy w Rozogach.

A gdy urządziłyśmy wieczór artystyczny w Rybnie czy w Sorkwicach, to wspólnym opowiadaniem o życiu nie było końca. Stałyśmy się „modne”. Dziewczyna w staro-wilanowskiej koszuli, kwiecistej spódnicy i czerwonej chustce na głowie urosła do symbolu pracowitej i usługowej warszawianki. „Nasze panienki” mówili chłopcy mazurscy na wieczornicy w Sorkwicach „jutro odwozimy was do Baranowa, majątku zespołu Mikołajki”. Pracę naszą miejscowa ludność tak ceniła, że z Rozóg musiałyśmy udać się jeszcze do Baranowa, a potem do Dybowa. Nie zapomnimy nigdy przeżycia, gdy po wyrwaniu kłosa żyta z kilku hektarów pszenicy i uczynieniu z niej pszenicy „super elity”, zaprzęgnięto traktor do wozu drabiniastego i odwieziono nas do jeziora, miniaturowy tatrzański Morskiego Oka. Stalowy rumak, widocznie jak i my ogarnięty beztroską wesołością, omal nie wjechał z nami do wody.

Niestety, nasz obóz wędrowny zbliżał się ku końcowi. Nie chciałyśmy z gołymi rękoma witać dziesięciolecie Polski Ludowej. Wzmogłyśmy swoje wysiłki, aby na akademii 22 lipca móc ogłosić następujące wyniki swojej pracy: „Przepracowałyśmy 880 godzin roboczych w ramach „łączności miasta ze wsią”; urządziłyśmy szereg wieczorów artystycznych o Warszawie i kraju; poznałyśmy piękno Mazur od Giżycka po Sorkwity; stałyśmy się lepsze, umiemy ocenić ciężką pracę chłopca. Chcemy na drugi rok znowu pojechać na Mazury, kontynuując kontakt z majątkiem Dybowa”.

Bo w Dybowie było nam najlepiej i niezatarte wspomnienie pozostawiła nasza akademii 22 lipca. Na dawnym junkierskim dziedzińcu, pod stuletnią lipą, Polska młodzieńczo przemówiła do Mazurów. Siedzieli na ławach wsluchani w słowa pieśni „Ukochany kraj, umiłowany kraj”, w słowa Gałczyńskiego „Warszawski wiatr”. A kiedy zabrzmiały słowa Międzynarodówki, śpiewał ją już zwarty chór: i tych spod Ostrołęki i z Dybowa, i dziewcząt z Warszawy i przejeżdżających z Mikołajek wodniaków. Flaga biało-czerwona lomotła na wietrze, jako symbol momentu rozpoczęcia następnego, jeszcze lepszego dziesięciolecia Polski na tych ziemiach.

Grupa dziewcząt - uczennic Państwowego Liceum Pedagogicznego nr 3 w Warszawie

CAŁY NARÓD BUDUJE SWOJĄ STOLICĘ

WYKONALIŚMY
6-LETNI PLAN
SFOS!

Z Wojewódzkiego Komitetu Odbudowy Warszawy w Bydgoszczy wpłynął meldunek o osiągnięciu w dniu 2 października rb. przez ofiarne społeczeństwo pomorskie zbiórki na rzecz budowy stolicy w wysokości 37.825.008 zł, która przekracza zadania 6-letniego planu SFOS o 25.008 zł.

Województwo bydgoskie jest więc siódmym z kolei w kraju, które — po stalino-grodzkim, łódzkim, kieleckim, poznańskim, opolskim i m. Łodzi przedterminowo zrealizowało zadania 6-latk sfosowskiej.

POWIATOWE WYSTAWY
ROLNICZE PROPAGUJĄ
SFOS

Na wystawie rolniczej w Gnieźnie, obok wspaniałych ekspozycji z zakresu mechanizacji rolnictwa, hodowli i zbiorów zbóż, znalazł się również pomysły kącik SFOS, zorganizowany przez Powiatowy Komitet OW w Gnieźnie.

Estetyczna gazетка, emblemat syreny oraz makietki Pałacu Kultury i Nauki doskonale harmonizowały z kolorowym wykresem, obrazującym udział w świadczeniach SFOS rolników powiatu gnieźnieńskiego.

Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie wśród społeczeństwa miasta i powiatu, z uwagi na ciekawą kompozycję architektoniczną, różnorodność wystawianych ekspozycji i bogate zaopatrzenie stoisk handlu społecznego w atrakcyjne towary. Toteż tysiące ludzi, zwiedzając wystawę, zbliżyło się do akcji SFOS-owskiej.

Zbieżność powiatowych wystaw rolniczych z Miesiącem Budowy Warszawy została w pełni wykorzystana dla sprawy realizacji hasła: „Cały naród buduje swoją stolicę”.

Stanisław Młodzikowski

„WARSZAWSKA” NIEDZIELA
WE WROCŁAWIU

Z inicjatywy aktywu sfosowskiego powstała Społeczna Komisja odzysku cegły dla Warszawy, na czele której stanął Marian Dryl, przewodniczący Prezydium MRN i czołowego w województwie Miejskiego Komitetu OW we Wrocławiu.

Inicjatywa ta spotkała się z pełnym poparciem i zrozumieniem społeczeństwa wrocławskiego, które podjęło ambitną decyzję dostarczenia swej stolicy 5 milionów cegły pod hasłem: „Od każdego mieszkańca Wrocławia — 50 cegieł dla Warszawy”.

Już w pierwszych dniach Miesiąca Budowy Warszawy wyruszyły na liczne jeszcze rumowiska wrocławskie pionierskie w tej akcji ekipy. Początki nie przyniosły spodziewanych rezultatów, jakkolwiek trzeba przyznać, że szereg załóg, jak: Gazownia, Elektrownia, spółdzielnia „Związkowiec” i komitety blokowe osiedla Grabiszynek III uzyskały poważne osiągnięcia. Praca nie miała bowiem charakteru zorganizowanego, masowego, przybierając często cechy „partyzantki odzyskowej”.

Toteż Społeczna Komisja, wykorzystując doświadczenia — w ścisłym oparciu o aktyw Zakładowych i Szkolnych Kół OW, Komitetów Blokowych i organizacji związkowych — opracowała szczegółowy plan, określający konkre-

ne zadania dla załóg w zakresie wydobywania cegieł z terenów z góry wyznaczonych, zapewniła sprzęt i środki transportowe własne załóg, a przede wszystkim — Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Transportowego. Planowość pracy, bazującej na zasadach socjalistycznego współzawodnictwa, zmobilizowała społeczeństwo m. Wrocławia do akcji odzysku cegły dla Warszawy.

Rankiem 26 września ponad 40 tysięcy mieszkańców Wrocławia przystąpiło do planowej pracy na wytyczonych terenach, rozciągających się od ul. Dobrzyńskiej do Nowowiejskiej. Transparenty sfosowskie na terenie całego odgruzowiska przypominają o celu, jakiemu służy akcja — o budującej się stolicy. Tablice roztawione na stanowiskach pracy informują o przynależności zawodowej ekip. Razno uwijają się kolejarze węzła Brochów przy dźwiękach orkiestry tramwajarzy, a w rewanżu... kolejarze przygrywiają ochoczo załodze tramwajarskiej. Żołnierze obok artystów i pracowników administracyjnych Wytwórni Filmów Fabularnych, milicjanci ramię w ramię z robotnikami WSK i Fabryki Sztucznego Jedwabiu, słuchacze Oficerskiej Szkoły z uczniami Technikum przy PAFAWAG, „wrocławscy” rolnicy z RZS - Wojszyce z uczniami III Gimna-

zjum, a stoczniovcy odrzańscy z gospodyniami domowymi komitetu blokowego nr 55/79, — wszyscy harmonijnie i z zapalem wydobywają tysiące cegieł ze zwalu gruzu i żelastwa, oczyszczając teren pod nowe budowle.

Sprawnie przebiega praca, kierowana fachowo przez instruktorów rozbiórkowych. Rosną w szybkim tempie „kozły” cegieł, podawanych w „łańcuchu rąk” i segregowanych starannie na nadające się do transportu, a więc dla stolicy i — słabszej jakości — na potrzeby lokalne.

Dzielnica III nie tylko wykonała swe zobowiązanie odzysku, oczyszczenia, przewiezienia i załadunku 16 wagonów cegły, lecz przekroczyła je o dalszych 11 wagonów, dystansując na tym etapie pozostałe dzielnice Wrocławia.

W godzinach popołudniowych 26 września ruszył do stolicy 70 wagonowy pociąg z cegłą, udekorowany transparentami i kwieciami — piękny dar społeczeństwa wrocławskiego na budowę nowych osiedli robotniczych bratniej Warszawy.

Szlachetne współzawodnictwo w tej akcji nie zostało zakończone, bowiem plan wykonano dopiero w 50%, pomimo, że dotychczasowe efekty przekroczyły już całomiesięczny odzysk cegły z 1953 r.

Zet.

Wycieczka na pojezierze Kaszubskie należy do atrakcyjnych wypraw turystyczno-krajoznawczych. Kto jednak tam jedzie, ten z całą pewnością zawita do Kartuz — stolicy Kaszub — pięknie położonego nad jeziorami miasta, odległego o 30 km od Gdańska.

Wysłannik „Stolicy” nie tylko zwiedza w tym uroczym miasteczku ciekawe Muzeum Kaszubskie, ogląda zabytki zamierzchłych czasów, podziwia rozległe widoki z gaju Świętopelka i wzgórze Wolności, lecz interesuje się w pierwszym rzędzie pracą miejscowego aktywu sfosowskiego.

Przewodniczącego Pow. Komitetu OW w Kartuzach, ob. Formelę zna tu każde dziecko, jest on bowiem klerownikiem popularnej placówki służby zdrowia — oddziału powiatowego PCK. Nie trudno więc go znaleźć.

W rozmowie bierze również udział sekretarz PKOW, ob. Kazimierz Baranowski, który wkrótce będzie obchodził 10-lecie pracy dla SFOS. Był on jednym z pierwszych na tym terenie, którzy na apel Partii i władzy ludowej odpowiedzieli czynem, stając od razu do pracy na rzecz budowy Warszawy. A początek był trudny. Ludność rolnicza Kaszub, wyzwolona z niewoli, stanęła przed niełatwym zadaniem leczenia ran, zadanych przez hitlerizm. Trzeba było wielkiego nakładu pracy propagandowo-uświadamiającej, aby wyjaśnić, jaki nierozważny związek istnieje między problemem odbudowy Warszawy, a sprawą podniesienia

W KARTUZACH
ZNACZNA
POPRAWA

dobrobytu wsi kaszubskiej. Nie łatwo było zmobilizować kadry aktywistów sfosowskich do pionierskiej działalności.

Dlatego też do niedawna jeszcze praca PKOW w Kartuzach kuliała, a do wykonania zeszłorocznego planu zabrakło 17 proc., w wyniku czego powiat znalazł się na końcu tabeli wojewódzkiej, dając świadectwo niedostatecznej operatywności swego aktywu. Ale wówczas już postanowiono, że musi być lepiej!



Przewodniczący PKOW w Kartuzach Formela i sekretarz Baranowski, jubilat akcji SFOS. Fot. L. Rubach

Jak przedstawiała się realizacja tego postanowienia — niech nam powiedzą cyfry. W ciągu pierwszych 8 miesięcy rb. powiat kartuski wykonał ponad 61 proc. planu rocznego, a sami rolnicy przekazali na Warszawę 55 tys. zł, czyli tyle, co przez cały zeszły rok.

Czemu należy przypisać tę zmianę?

Przede wszystkim reorganizacji i mobilizacji aktywu powiatowego oraz zmianie stylu pracy. Polega on obecnie na bezpośredniej aktywizacji komitetów gminnych i kół gromadzkich w terenie. Do niedawna jedna z najbardziej spieszących gmin w powiecie — gmina Babino — wykonała już zeszłoroczny plan zbiórki na SFOS z wysoką nadwyżką, m. in. dzięki częstym odwiedzinom delegatów PKOW i licznym pogadankom na gromadach o Warszawie. Za gminą Babino poszły inne gminy i gromady, tak, że dzisł rolnictwo kartuskie legitymuje się 70 proc. realizacją swego zobowiązania, które polega na pokryciu połowy całego rocznego planu PKOW.

Dobrym przykładem świeci również miejski komitet OW w Kartuzach, który o dwa miesiące przyspieszył wykonanie planu i półroczna.

Wszystko wskazuje na to, że PKOW w Kartuzach wybitnie poprawi swą lokatę wśród powiatów województwa gdańskiego przy rocznym podsumowaniu współzawodnictwa sfosowskiego. Życzymy mu tego z całego serca!

El-mir.

PRENUMERATA „STOLICY”

Stałe otrzymywanie „Stolicy” jedynie może zapewnić prenumerata pocztowa.

Do dnia 10 listopada br. wszystkie urzędy pocztowe i listonosze przyjmują prenumeratę „Stolicy” na miesiąc grudzień (4.40 zł). Prenumeratę „Stolicy” za granicę przyjmuje PPK „Ruch”, Sekcja Eksportu, Warszawa, aleje Jeruzolimskie 119, 805-05.

5-B-18873

„Stolica” — warszawski tygodnik ilustrowany. Redakcja: W-wa, ul. Chocimska 31. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat: 408-67; sekr. redakcji i red. działów: 413-58. Administracja: ul. Chocimska 33, tel. 415-01. Redaguje — Zespół. Redaktor naczelny: Dobrostaw Kobielski.

Wydawca: Naczelna Rada Odbudowy m. st. Warszawy. Redaktor naczelny i sekretarz redakcji przyjmują codziennie prócz sobót w godzinach 10—12. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Druk. Zakłady Drukarskie i Włókiodrukowe RSW „Prasa”, ul. Marszałkowska 3/5.



Wędrowki po Muzeum Narodowym (42)



poszukiwanym portreci-
stą rodzin magnac-
kich.

Z biegiem lat kontakt Bacciarellego ze społeczeństwem polskim coraz bardziej się pogłębia. Równoległe do naukowych badań Naruszewicza nad historią Polski, podejmuje on próbę przedstawienia w malarstwie najważniejszych momentów z naszej przeszłości dziejowej. Największą zasługą Bacciarellego jest jednak wychowanie całego pokolenia artystów Polaków, którym „malarnia zamkowa“ musiała zastąpić nie istniejącą wówczas w Polsce akademię malarstwa.

Lata klęski nie odstraszyły Bacciarellego. Pozostał wierny Polsce i Warszawie, zawsze na swym posterunku, zabiegający aż do śmierci o prawa artystów do pracy i nauki.

Wśród wielu obrazów Bacciarellego w Galerii Muzeum Narodowego w Warszawie na szczególną uwagę zasługuje jego autoportret w konfederatce, malowany zapewne około 1785 r. Na niemłodej już twarzy artysty widać ślady przeżytych trudów i trosk. Człowiek ten ma poza sobą wiele doświadczeń, zachował jednak, jak się zdaje, nadal życzliwy i optymistyczny stosunek do otoczenia. Kieruje na widza poważne, ujmujące spojrzenie, a gest jego wyciągniętej ręki ma ośmielać obecnych i ułatwiać im rozmowę z mistrzem.

Malarz wyraźnie rezygnuje w tym portrecie z pozy i efektu, cech charakterystycznych malarstwa dworskiego XVIII w. Ukazuje nowe, humanistyczne treści wizerunku człowieka, a strojem podkreśla swój związek ze środowiskiem polskim.

Janina Ruszczykówna

Marceli Bacciarelli

Stanisław August zaraz po objęciu władzy pomyślał o odpowiedniej oprawie artystycznej dla swego dworu. Zwrócił się przede wszystkim ku reprezentacyjnej sztuce dworskiej, cieszącej się wówczas uznaniem w całej Europie. Rozpoczęto pertraktacje z artystami, których sztuka zyskała już aprobatę na innych

dworach. Najbliższe stosunkowo Drezno, związane przez tyle lat z Polską, dawało ku temu najlepszą sposobność. Po wojnie siedmioletniej i po śmierci Augusta III artyści drezdeńscy błakali się po pobliskich dworach panujących w poszukiwaniu pracy i chleba. Zamiłowania artystyczne nowego króla polskiego były dla nich

rękojmnią troskliwej opieki i powodzenia. To też już w początkowym okresie Oświecenia zjeżdżają do Warszawy na stałe znani i uznani artyści. Przybywają Włosi Bacciarelli i Canaletto, Szwed Krafft, Francuz Pillement i inni.

Najwybitniejszym z nich jest Bacciarelli. Od razu ujawnia ogromny talent organizacyjny, niezmier-

ną rzutkość i pracowitość. Jako Generalny Dyrektor Budowli Królewskich i pierwszy malarz króla staje się jego pełnomocnikiem do wszystkich spraw artystycznych. Jest niesłychanie płodnym portreci-
stą. On głównie zaspokajają zapotrzebowania na reprezentacyjne portrety króla i jego rodziny. Staje się najbardziej

